Kiedy byłem małym chłopcem cz.I — bassooner

Juju.

Kiedy w letnie, gorące popołudnie zaczynałem jeść zupę owocową, Juju właśnie brał rozbieg. Bieżnię stanowiło pięć połączonych ze sobą garaży, a on miał wskoczyć do oddalonej o kilka metrów od ostatniego z nich piaskownicy. Poszło o zakład, a kawał placka wynagradzał ryzyko. Zresztą dla jedzenia był w stanie zrobić prawie wszystko. Nie żeby nie miał co jeść, ale nawet wychodząc z domu, po obiedzie, zdążył już zgłodnieć zanim zaszedł z drugiego piętra na podwórko. Marudził wtedy.

- Ale jestem głodny. Macie coś do jedzenia? Może pójdziemy na "epę"?

"Epą" nazywaliśmy ogałacanie wszystkich możliwych drzew owocowych w obrębie naszego rewiru. Obsiadaliśmy drzewa niczym stada szpaków. Wiedzieliśmy lepiej niż niejeden ogrodnik, kiedy, gdzie i komu pierwsze dojrzewają czereśnie, wiśnie, śliwki czy jabłka. Zresztą tak naprawdę, to żadne z tych drzew nigdy nie doczekało się w pełni dojrzałych owoców. Głód Juja oraz jego namowy zwyciężały w końcu z cierpliwością. Nie wiem gdzie mu się to wszystko mieściło, bo był przeraźliwie chudy i kościsty - w przeciwieństwie do swoich potężnych niczym zawodnicy sumo rodziców. Odkąd pamiętam zawsze widywałem ich na rowerach. Czarne, matowe "kozy" nikły pod wielkimi pupami, które pochłaniały całe siodełka. Najdziwniejszy jednak był styl jazdy - powolny i dostojny z ciągłym łapaniem równowagi. Kiedy widziało się z oddali coś wielkiego, skrzypiącego, piszczącego i powolnego - to byli oni. Gdy robiło się szaro, prowadzone, tworząc z prowadzącym odwróconą literę "V", były jakby trzecią nogą, pozwalając przemieszczać się z mozołem do przodu. Materiałowe siatki zwisały z kierownicy trąc o przednie koło, a dźwięcząc zdradzały swoją zawartość.

Kiedy wziąłem trzecią łyżkę zupy do ust dbając, aby były na niej i makaron i wiśnia, Juju już szybował niczym ptak w kierunku piaskownicy. Nie zdążyłem jej przełknąć gdy potężnie głośny, rozpaczliwy krzyk rozdarł powietrze jak błyskawica. Wybiegłem na podwórko. Za garażami stało kilka osób, pochylając się nad jedną. Juju przedobrzył i prawie ją przeskakując wylądował na drewnianej balustradzie. Złamał nogę, kość wyszła bokiem, a ja nie dokończyłem już obiadu.

Wojtas.

Wojtas miał marzenie. Zawsze kiedy żubrowaliśmy na różnych placach budowy, przeganiani raz po raz przez podstarzałych stróżów zwierzał nam się z niego. My zaś w pełni rozumieliśmy jego zachwyt oraz wizję przyszłości.

- W przyszłości zostanę dźwigowym.

Tak mawiał, a kolejne budowy, na których stawiano coraz to nowocześniejsze dźwigi były naszymi celami. Tak więc znaliśmy stare dźwigi o stelażu rurowym, nowsze o stelażu szkieletowym, z kabinami zamontowanymi na stałe i te z kabinami ruchomymi, wysokie i niskie, szynowe, kołowe i stacjonarne, słowem wszystkie, które posłużyły do budowy bloków na naszym terenie, a wszystkie one były obiektami westchnień Wojtasa.

- Zobaczcie na tego! O ja - ale wysoki! A ten jaką ma przeszkloną kabinę! Kiedyś będę dźwigowym, będę siedział sobie tam na górze i wszystko widział - zobaczycie.

Ucieczka przed stróżami oraz kawałkiem gumowego kabla w ich dłoniach mąciła czasami naszą fascynację sprzętem budowlanym. Zdarzało się, że umykaliśmy w ostatnim momencie, a maruderzy dostawali jeszcze na odchodne cięgi po dupsku. Kiedy wreszcie byliśmy bezpieczni, przychodziło rozluźnienie, a zaraz później salwy śmiechu. Prawie zawsze wtedy zdawaliśmy sobie sprawę, że wszystkim nam chce się przeogromnie sikać. Największe problemy miał w tej materii właśnie Wojtas. Zdejmowanie przez niego spodni było nie lada sztuką, bo nie posiadały one ani rozporka, ani guzika, ani nawet czegokolwiek co mogłoby rozluźnić je w pasie. Myślę, że jego mama uszyła je na nim. Przez to były tak ściśle dopasowane, że ów biedny musiał się ich pozbywać jak poczwarka kokona. Kiedy my już

sikaliśmy i skręcaliśmy się ze śmiechu, on nieszczęsny wykonywał te swoje poczwarze ruchy, a zsuwając je po milimetrze w dół krzyczał.
- Za chwilę się zsikam! Przestańcie!
Wojtek patrzy teraz na wszystkich z góry i sika do plastikowej butelki - został operatorem dźwigu.

Wiciu.
Gdy graliśmy w piłkę, wszyscy bez wyjątku chcieli grać w drużynie Wicia. Nie żeby był super zawodnikiem, chociaż grał nieźle, on po prostu "kosił" skuteczniej niż kosiarka rotacyjna, a starcie z jego grubokościstym szkieletem, obleczonym li tylko skórą, nie należało do przyjemności. Tak więc kiedy szarżował jak ranny dzik z piłką na bramkę, wszyscy raczej umykali mu z drogi, a szyki obrony rozstępowały się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Próby zatrzymania go, bądź też odebrania piłki, dokonywane były metodami partyzanckimi, czyli znienacka i z tyłu. Oczywiście, jak to w piłce bywa, nie uchroniło nas to przed kościstym Wiciem i co rusz ktoś "podkoszony" zwijał się w bólach rozcierając nogę. Z rzadka, ale jednak czasami udawało się "podkosić" i Wicia. Wtedy na hasło "kupa", które gwarowo wypowiadaliśmy "kłypa", wszyscy jak żyw zawodnicy drużyny przeciwnej Wiciowi, rzucali się na niego przygniatając do ziemi. Była to zemsta za kontuzje jakich doznali w konfrontacji z nim i jego śmiercionośnymi nogami. Jej zakończenie następowało jeszcze szybciej niż rozpoczęcie, a uczestnicy musieli, pod groźbą utraty życia, rozpierzchnąć się na bezpieczną odległość zanim Wiciu nie ochłonął i się nie uspokoił.
Zresztą "kłypa" pojawiała się w różnych sytuacjach. Kiedy któryś pierdnął, ot tak sobie i zapomniał o określonej procedurze, kończyło się to dla niego "kłypą". Ostatni jej uczestnicy rzucali się już z rozbiegu na leżące ciała powodując jeszcze większe wkomponowanie nieszczęśnika w ziemię. Procedura przy pierdnięciu polegała na wypowiedzeniu przed słowa "aucik", pierdnięciu i zagwizdaniu. Wtedy była pełna, dając nietykalność pierdzącemu, nawet jeśli smród był nie do zniesienia. Jak łatwo przewidzieć, zdarzały się bąki spontaniczne, nie zapowiedziane, czyli bez procedury. Zdarzało się też, że po słowie "aucik" i siarczystym upuszczeniu gazów, wykonawca ze śmiechu nie był w stanie już zagwizdać. Ganialiśmy go wtedy po całym podwórku, aż do skutku. Czyhał na to w pierwszej kolejności Wiciu, który z kolei odkuwał się za "kłypy" zrobione na nim w czasie meczu. Zresztą tak naprawdę wystarczyło stracić równowagę i przewrócić się, a czujny Wiciu już nawoływał "kłypa!".

Cizia.
Byliśmy wtedy jeszcze aseksualni, a dziewczyny spotykaliśmy tylko w szkole. To znaczy może je spotykaliśmy, ale ich nie zauważaliśmy. Były dla nas zupełnie niepotrzebne, jak jakiś obcy gatunek, z którym nie mamy nic wspólnego. Ale jednak czas i chemia zaczynały powoli robić swoje poprzez ciągoty do czegoś bardziej miękkiego i pulchnego. Nasz stosunek do nich jeszcze się nie zmienił, a jeśli nawet, to byliśmy zbyt nieśmiali. Sposób na to okazał się dziecinnie prosty, a nazywał się Cizia.
Cizia należał do naszej paczki i wyróżniał się tym, że posiadał piersi. W przeciwieństwie do nas był gruby i mięciutki, i co najważniejsze spolegliwy. Z początku było nam to zupełnie obojętne, ale w czasie którejś "kłypy" zaczęliśmy odczuwać dziwną i nieznaną przyjemność w leżeniu na nim. Od tego czasu jego życie zmieniło nazwę na "kłypa". Nawet jeśli robiliśmy ją na kimś innym, a Cizia był drugi, czy trzeci, to i tak wszyscy następni rzucali się na niego chcąc obcować z czymś mięciutkim i pulchniutkim. Wtedy też pojawiało się następne zawołanie pt. "macamy!". Dotyczyło, a właściwie zagrażało każdemu z nas, ale i tak de facto oznaczało ugniatanie przez kilkanaście napalonych, młodzieńczych dłoni "kobiecych" piersi Cizi. Przodował w tym Wojtas, który z równą siłą odczuwał słabość do koparek, dźwigów jak i Cizi.
Kiedy Cizia wyrósł, przeistoczył się w prawdziwego gladiatora i nikt już nie śmiał zrobić na nim "kłypy", a tym bardziej macać. Pamiętam ten dzień, kiedy zdaliśmy sobie sprawę z jego dotąd skrywanej siły.

Walczyliśmy na podwórku na pięści. Ktoś przyniósł rękawice bokserskie i zrobiliśmy sobie podwórkowy sparring. Jednym z najlepszych zawodników był Wojtas. Szybki, nabity i zadziorny. Okładał wszystkich jak leci, a potyczki kończyły się zazwyczaj ucieczką jego przeciwników. Któregoś razu doszło w końcu do walki Wojtas vs Cizia. Miała być zakończona powaleniem Cizi i "kłypą" - na co najbardziej czekał Wojtas. Zaczęło się standardowo. Mały, szybki i zwinny Wojtas zaczął okładać rywala gdzie popadło. Po korpusie, po nerach, po gardzie zasłaniającej twarz, słowem wszędzie. Cizia jednak stał nie wzruszony jak posąg. Wojtas wciąż nacierał zachęcany naszymi okrzykami: "lej mu! lej mu!" i kiedy już myśleliśmy, że nic się nie wydarzy, Cizia wyprowadził cios. Był tak potężny, że przeciwnik wzniósł się w powietrze, upadł i już nie wstał. Po kilku dniach, na licu Wojtasa, mogliśmy po raz pierwszy w życiu podziwiać jak wygląda kolor w pełni dojrzałej śliwki.

Ryby.
Kiedy do nowo wybudowanego bloku zaczęli wprowadzać się lokatorzy, nasze życie zmieniło się. Byliśmy tam od zawsze, a nasze domy i kamienice pamiętały czasy przedwojenne. Bloki zabrały nam ogrody, które plądrowaliśmy, baraki, w których polowaliśmy na szczury i miejsca niezagospodarowane, których dzikość czyniła naszą młodość barwniejszą. Nowi przyjechali ze wsi, byli zatrudnieni na kolei i wszyscy, ale to wszyscy bez wyjątku łowili ryby. Nie wiem, czy była to zwykła pasja, czy też niezwykła pogoń za białkiem w dobie kryzysu, ale coś nakazywało im zrywać się w nocy i iść na pociąg o trzeciej zero, zero. Szli więc objuczeni kilogramami sprzętu i wiadrami zanęty. Samotnie, bądź małymi grupkami z papierosami w ustach. Niektórzy jeszcze na wpół śpiący i skacowani po piątkowym, bądź sobotnim spożywaniu. Wypełniali cały pociąg i docierając w końcu nad stawy i jeziora, łowili ile Bozia dała, a żadne limity połowu w ogóle nie wchodziły w rachubę. W efekcie - jak to na rybaczce - czasami wracali o kiju, a czasami z wiadrami wypełnionymi po brzegi, przysparzając swoje żony o palpitację serca.
- Trochę się zje, a reszta pójdzie do octu.
Tak mawiali, a akurat octu było wtedy w sklepach pod dostatkiem.
Wtedy też, w myśl marksizmu, doszło do pojednania ludu pracującego miast, z ludem pracującym wsi. Nasi wiejscy rówieśnicy z bloku kolejowego szybko się z nami zintegrowali. Zaczęliśmy wspólnie grać w piłkę robiąc "kłypę" na Wiciu, napadać resztę pozostałych w okolicy ogrodów i oczywiście, gdy zarazili nas rybaczką, jeździć na ryby.
Musieliśmy skompletować sobie sprzęt wędkarski. W owych czasach jego kupno było nie lada wyzwaniem, ponieważ w jedynym sklepie wędkarskim w mieście nie było nic. Towar pojawiał się z rzadka wykupywany na pniu przez w mgnieniu oka powstającą, wędkarską kolejkę. Jednak kilka razy udało nam się utrafić na przyjęcie towaru. Ustawiliśmy się w kolejce, która może nie była powalająca jeśli chodzi o jej długość, jednak jej gęstość w miarę zbliżania się otwarcia sklepu była coraz to większa. Ludzie napierali ze wszystkich stron, a my ze swoimi wątłymi ciałami byliśmy w samym środku "oka cyklonu". Kiedy wreszcie drzwi sklepu, jak bajkowy sezam otwarły się, kolejka ożyła i niczym potężna larwa wtoczyła się do środka. Larwa była tak zbita, że uniósłszy mnie kilka centymetrów nad ziemię, przeniosła z ulicy przed ladę pomimo, że do sklepu wchodziło się po kilku schodkach. Zakupiliśmy sobie kije teleskopowe oraz kołowrotki o wdzięcznej nazwie Delfin, wszystko made in CCCP i zaczęliśmy jeździć na ryby, dołączając, w sobotnie i niedzielne poranki, do uśpionej ciżby idącej na pociąg trzecia zero, zero.
Moi przyjaciele wyznawali tylko jedną zasadę: niczego nie za wiele. Tyczyła się ona w równej mierze ilości wrzucanej zanęty, ilości i wielkości zabieranych ryb (czytaj: wszystkie), jak i wytrzymałości sprzętu. Tutaj nie wyznawali żadnych kompromisów. Łowiąc z reguły płocie i leszcze wytrzymałość haczyków, a właściwie haków i żyłek mieli obliczoną na suma. Technikę połowu określali dwoma słowami "droga powietrzna". Dla niewtajemniczonych dodam, że po zacięciu ryby następuje jej hol zakończony bądź w dłoni, bądź też w podbieraku - jeśli zestaw jest delikatny. "Droga powietrzna" była

alternatywną metodą wyciągnięcia ryby z wody. Po zanurzeniu, przynurzeniu lub jakimkolwiek gwałtowniejszym ruchu spławika, czyli braniu, następowało potężne, oburęczne zacięcie, które wyrywało rybę z jej naturalnego środowiska wprost w korony drzew. Tak więc nawet półkilowe leszcze śmigały sobie w przestworzach i zwisając, chwilę później z gałęzi, złociły się w promieniach porannego słońca.
Oczywiście z tak potężnymi hakami i grubymi żyłkami, nie mogliśmy liczyć na grubsze, ostrożniejsze sztuki ale zdarzały się jednak i kilówki. Myślę, że były to najbardziej tępe ryby z całej ławicy, wysyłane przez te mądrzejsze w celu wybadania całej sprawy. Dokonaliśmy wtedy naturalnej selekcji, eliminując te najbardziej przygłupie okazy, a pozostawiając same cwane i sprytne. Zapewne dlatego ryby już nie biorą jak kiedyś.

Zdobycie przynęty było w tamtych latach rzeczą trudną. Niejednokrotnie trudniejszą, niż zdobycie samej ryby. Teraz idzie się po prostu do sklepu wędkarskiego i kupuje.
- Poproszę dwa opakowania czerwonych robaków i jedno białych.
- A jakie pan chciał te czerwone: małe, średnie, duże czy rosówki?
Zgroza! Wtedy było inaczej. Wtedy robaki wykopywało się łopatą z ziemi i to nie byle gdzie! Te z ogrodów i łąk były jakieś takie mizerne. Wątłe i delikatne, pozbawione woli walki. Nie miały nawet odpowiedniego koloru, nie godne nazywać się czerwonymi, a raczej różowo - szarymi. Nabite na haczyk zwisały zeń bezwładnie jak tycie sznurowadła, poddając się bezwarunkowo swojemu i tak przechlapanemu losowi. Będąc rybą nie tknąłbym ich nawet po tygodniowym poście, zresztą nie tykały. Wiedzieliśmy o tym doskonale i "polowaliśmy" na inne robaki. Na te "prawdziwe" czerwone, czyli arystokrację wśród robali. Chodziliśmy po nie koło Smródki.
Smródka to było określenie czegoś, co przepływało przez nasze miasto. Niby to wyglądało jak rzeczka ale przy bliższym poznaniu okazywało się, że jedynym podobieństwem jest stan ciekły. Zapach, kolor, konsystencja oraz ciągłe, toksyczne opary unoszące się w jej pobliżu informowały, że mamy do czynienia z czymś tylko na pozór podobnego do rzeki, czyli właśnie ze Smródką. Pozbawiona była całkowicie wszelakiego życia, no może za wyjątkiem drobnoustrojów i mieszkających w jej rozlewiskach tych "prawdziwych" czerwonych robaków. Zamieszkiwały one przybrzeżny, szary szlam i po jednokrotnym wbiciu szpadla przynęt wystarczało na cały dzień łowienia. Ów szlam wydzielał jednak specyficzny aromacik przez co musieliśmy zakładać gumowce, a ręce po rybaczce "pachniały" przez cały następny dzionek. Ale robale były waleczne niczym rycerz Lwie Serce. Założenie ich na haczyk było nie lada sztuką. Wiły się jak tylko mogły, a wyczuwając ostry zadzior robiły uniki na prawo i lewo. Ową bezcelową walkę musiały i tak przegrać. Chwilę później lądowały na dnie jeziora gdzie stawały się łakomym kąskiem leszczy, płoci, okoni czy nie daj Boże jazgarzy.
Jazgarze były naszą udręką, ale i przekleństwem wszystkich wędkarzy, bo rozmiarami niewiele przewyższały samą przynętę. Strata rasowego, w takich trudach zdobytego czerwonego robaka, przeznaczonego dla bardziej wysublimowanej zdobyczy, na rzecz tego rybiego karła z marginesu jeziorowego społeczeństwa, była prawdziwą wędkarską tragedią. Jazgarze bez względu na swoją wielkość, to znaczy małe albo bardzo małe, połykały wszystko tak głęboko, jak tylko się dało. Nie miał znaczenia ani rozmiar haczyka, ani wielkość założonego robaka, całość była i tak, w najlepszym przypadku, gdzieś za głową w drodze do żołądka. Ich branie nie było delikatne, nie próbowały ściągnąć samej przynęty ratując życie, co to, to nie, nic z tych rzeczy. One brały z okrzykiem "avanti!!!", topiąc cały spławik i osobiście się zacinając. Chwilę później patrząc na nas swoimi wytrzeszczonymi ślipiami, które zajmowały połowę głowy, zdawały się mówić: "no widzisz co mi zrobiłeś, uratuj mnie teraz, odhacz... ale tak żeby robal został w środku", a odhaczenie jazgarza to była dopiero mordęga. Łatwiej byłoby obciąć żyłkę i zostawić go w środku, niż manipulować z nadzieją wydostania go na zewnątrz. Niestety haczyki były wtedy towarem równie deficytowym jak szynka, czy buty. Odcięcie go i pozostawienie w środku ryby nie wchodziło w ogóle w rachubę. Dlatego za wszelką cenę próbowaliśmy

je wydostać. Najpierw delikatnie, później troszkę mocniej, a zapadające się smutne oko, wciąż patrzące na nas informowało: "tylko ostrożnie, haczyk zaczepił się za mnie gdzieś od środka, uważaj!", by w końcu pójść na całość i szczypcami wyjąć go razem z tym smutnym okiem. Mówiło wtedy do nas wisząc na haczyku: "moi krewniacy przypłyną tutaj i zjedzą ci wszystkie robale, nie złowisz ani jednej porządnej ryby - tylko samych moich kumpli."
Jednak czerwone robaki, nawet te najwaleczniejsze i najbardziej wijące się, były niczym w porównaniu do robaków białych. To było to. Kwintesencja obrzydliwości ale i skuteczności. Dodam tylko, dla niewtajemniczonych, że biały robak jest larwą muchy i zamieszkuje... hm... jakby to powiedzieć... ścierwo. Obecnie, te kupowane w pudełeczkach wprost z lodówki są sterylnie czyste i pozbawione jakiegokolwiek zapachu. Zanim trafią do sprzedaży wycierają się całymi dniami w trocinach. Są przez to może i łatwiejsze do zniesienia, szczególnie przez sprzedających, którzy musieliby spędzać całe dnie w ich aromacie, ale pozbawione tego, czym się szczyciły, czyli smrodu, powalającego nawet tych najbardziej wytrzymałych, a nęcącego ryby. Są jak porównanie kawy espresso z tanią rozpuszczalką.
Wtedy to właśnie robiliśmy wypady do pobliskich śmietników, gdzie zamieszkiwały w resztkach zepsutego mięsa. Zapach i roje much prowadziły nas jak po sznurku. Z chustkami wykropionymi Przemysławką i zakrywającymi nos, która choć w minimalnym stopniu tuszowała mdłą woń rozkładających się pozostałości wędlin, kurczaków, konserw i mięsiwa grzebaliśmy patykami, w poszukiwani białych, ruchliwych stworków. Załzawione oczy zdradzały wstrzymywane, z wielkim trudem pawie, jednak raz po raz któryś w końcu nie wytrzymywał i zwracał śniadanie, obiad, czy kolację. Dodam jeszcze, bo były to lata kryzysu, czyli nieustającej pogoni za białkiem, że mogło się to zdarzyć w dniu, w którym akurat, wyjątkowo na kolację była szynka wystana w kolejce przez babcię od trzeciej w nocy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bassooner, dodano 22.05.2009 08:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.